



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

Z CYKLU SONETÓW

El...y'ego.

Pierwotną białość słonecznych promieni
Ziemi widnokrąg rozszczepia i lamie
Na chmurach, w tęczy różnobarwnej bramie—
I fala światła inaczej się mieni

W błękitach morza, w żywej łąk zieleni,
W złocistych łąkach, i zórz krwawej plamie...
I każdy z kwiatów innej barwy znamię
W grze malowniczych odbija odcieni.

Podobnie światło prawdy w ziemskiej sferze,
Przez mgły sphywając w tęczę się rozwionię,
Gdy ludzkim duszom niesie blaski świeże:

Każda z nich w siebie inne barwy chłonie,
Każda za całość jedną cząstkę bierze:
Tę, którą sama w swem odbija łonie.

NARZECZONA.

(Listy do narzeczonej przez **Juliana Mohorta**).

(Dokończenie).

„Małżeństwo jest szkołą życia...” — twierdzi autor *Listów* — tak mąż jak żona uczyć się żyć,

lecz obok tego wzajemnie żyć nauczają. Mąż, jako doświadczeńsza, przez naturę rzeczy silniejsza strona, jest względem żony obowiązany do tego, bo wszystkie prawa, dające mu w małżeństwie supremacyą, wytwarzają tę powinność. Nauka to nie książkowa, jakkolwiek jest rzeczą niemałego znaczenia, gdy i książka w tem udział bierze — gdy mąż oświeca umysł młodej żony przez czytanie rzeczy rozumnych, ale teoria jest zawsze teorią tylko a tu trzeba przede wszystkim, aby praktyka życia, była życia nauczycielką. Aby wywołać postępowanie, celów swoich świadome, trzeba cele te poznać w rzeczywistym ich dla nas znaczeniu — cele i konsekwencye, wynikające z dążenia ku nim. Autor ma słuszność za sobą twierząc, że „kobieta, której nie uczono życia obserwować i wnioskować porządnie“ nie może osiąść należyte życie znajomości i według tego w postępowaniu swem się kierować. Mąż powinien dbać o to, aby żona przez rozumne skierowanie myśli na fakta życiowe doszła do umiejętności dobrego patrzenia w koło siebie i wyciągania ztąd nauki doświadczenia.

Uczyć się dość wczesnie życia mądrości przez życia obserwacyą, jest to zawarować sobie przyszłość i zabezpieczyć się przed gorzką boleścią próżnego żalu, że istnienie nasze zmarnowane zostało. Nie żyje się dwa razy, a „grób nie odda nas jak kolebka“ i szkoda wielka, że autor potrąca tylko o tę myśl ważną, aby mąż uczył młodą żonę obserwacyi życia i wnioskowania o niem na zasadzie postępowania tych, którzy je pędzą rozsądnie, lub szalenie. Miłość własna, pragnienie używania nie zasłania nam wtedy oczu, które widzą jasno, jak skutki wiążą się ściśle z przyczyną, a gdy z wywołaną w ten sposób życia nauką, zestawia się własnego życia obrazy, musi z tego wyłonić się wiedza, co tu jest złem, a co dobrem — co przyszłości naszej grozi nieszczęściem i ruiną, a co

podnosi ją bezpiecznie nad grę wypadków i losu nieszczęśliwości.

Mąż powinien drugostronnie wtajemniczyć żonę we wszystkie te sprawy, na których gruntuje się byt ich wspólny: powinien jej wykazać źródła dochodów swoich i cały stan majątkowy, a gdy w ten sposób obudzi w sercu kochającej kobiety świadomość położenia, przyjdzie z kolei i poczucie wspólności interesów, wraz ze zwrotem myśli na sposób, w jaki życie ich pędzonym być może i powinno. Jeżeli to nie jest istota szalenie płocha, jeżeli to nie jest istota zimna i samolubna, która sobie oschle powiada, że jest obowiązkiem męża starczyć na wszystko, co żona potrzebuje, rozsądne to postąpienie „nie tylko ją uchroni od zachceń zbytkowych, ale nawet mąż zyska serdeczny nadzór nad swemi nierozważnymi projektami.“ Jest w kobiecie dobrej instynktowna na korzyść rodzinnego bytu zachowawczość, objawiająca się stale na wszystkich szczeblach drabiny społecznej, co u nas nawet było w przeszłości charakterystyczną cechą tak kobiety, jak jej gospodarstwa. Gdy mąż wśród zajęć życia publicznego nieraz za domem zbyt hojną ręką grosz rzucał, gdy zagrzany i uniesiony szafował nim czy butnie, czy ofiarnie, ona, zastawiona na straży rodzinnego ogniska, skrzętnie, oszczędnie go zbierała: kasztelanowa w kunsztowny sepecik, pani wojska, bogdaj w pończochę chowając. W pamiętnikowej historii naszej jest wielka ilość kobiet tak zasłużonych rodowi swojemu a w dalszym ciągu rzeczy krajowi, i jest tak dotąd: tradycyjnej tej cnoty utrzymania wszędzie, gdzie kobieta lekkomyślną i płochą się nie staje, a serce bije jej w piersi na miejscu należnym.

Istnieje wprawdzie stara, satyryczna piosenka: — Sprzedaj kontusz, sprzedaj duszę, ja na balił jechać muszę!... ale to już, jak język wykazuje, gorzki owoc na drzewie zepsucia obyczaj-

jów z epoki ostatniej, lecz i to nawet szło wierzchem, nigdy w głąb społeczeństwa nie przeniknąwszy. Chwalimy się przed światem kobietą naszą, jej podniosłością uczucia, jej isticie rzymską cnotą obywatelskości, niechże jej płocha elegantka, lekkomyślna Frou-Frou ujmę nie przynosi i szkody nie czyni. Autor szlachetnie i pięknie pojmuje kobietę—szlachetnie i pięknie pojmuje w sercu jej miłość, buduje też na tem uczuciu cały gmach szczęścia małżeńskiego stron obydwoh i nie jest to rachuba zawodna. W uczuciu tem, gdy dwoje ludzi jest niem szczerze i rzeczywiście związanych, mieści się niewyczerpane źródło uciech słodkich i wielkich, pociech tak skutecznych na zawody i boleści życia, że człowiek kochający i kochany, nigdy zupełnie nieszczęśliwym być nie może i gdyby też ludzie wiedzieli o tem dość wczesnie, nim klamka ich losu zapadnie, nie byłoby na świecie tych związków nędznych, które są małżeństwami dla pieniędzy, dla zapewnienia sobie przyszłości, związków smutnych dla konwensu—dlatego konwensu na przykład, aby starą panną nie zostać....

Bywają przecież małżeństwa szczęśliwe, zawierane na podstawie zobopólnego szacunku i przyjaźni—na podstawie wspólności pragnień i pojęć, wspólności ideałów życia.... Wszakże miłość kochanków zwolna w podobny stan przechodzi: w przywiązanie spokojne męża do żony, żony do męża — w uczucie bliższe przyjaźni, niż miłości z jej uniesieniami namiętnymi, z jej szarpiącą zazdrością, lub zaślepieniem nierozsądnem. Para ludzi idzie wtedy przez życie ręka w rękę, wspólnością dóbr tego życia i celów jego związana, wspomagając się w tem wzajemnie, wzajemnie się podpierając, dwoje dożywotnych towarzyszy....

Tak... tylko, że miłość, jak wszelki płomień gorący, zostawia po sobie, nawet gdy już ujdzie, ów blask jasny, luną zwany, który, jak zorze po zachodzie słońca świeci jeszcze długo — długo daje przedmiotom ów koloryt złocisto-ciepły, który czyni je pięknymi w sposób odmienny, niż gdyby to było wszelkie inne, prawidłowe oświetlenie. Miłości to zarzucają, że ma na oczach opaskę, z jaką malowali ją jeszcze Grecy—że nie widzi tego, co wszyscy dostrzegają bardzo wyraźnie, czy przecież nie jest ona przez to właśnie uczuciem, którego nie zastąpi, bo ono jedno daje szczęście bez skazy—daje ukochanie przedmiotu doskonałego: uczucie najidealniejsze na świecie. Szlachetna natura człowieka potrzebuje może tego zawiązania oczu—tych zaślepień miłości, które nawet, gdy właściwe uczucie zmianie ulegnie, zostawiają nam w sercu słodycz i tkiwość, z żadnym innym stanem serca niezłączoną. Przytem ludzie natury podnioslejszej, których miłość jest uczuciem a nie namiętnością, nigdy się zbyt ciężko nie mylą, tylko ukochawszy przymioty, już mają oczy na wady zamknięte, czyli kochają szlachetne strony tej istoty wybranej, która czar miłości rzuciła im na serce.

Ozar to jest najpotężniejszy, z największą mocą uszczęśliwiania ludzi, z najdoskonalszą perłą poezji, w głębi swojej. Jak ów nurek Schillera, tak człowiek idzie nieraz po nią w wir fal życiowych, a najzupełniej i w całości szczęśliwym jest tylko ten, kto ją z nich wyłowi i na skarb życia swego uniesie. Już Starożytni znał wdzięk tych uczuć słodkich, jakie na zawsze zostaje w sercu, które kochało i wzięło sobie z miłości wzajemnej skarb szczęścia na wieczór żywota. Baucys i Filemon to obrazek życia piękniejszy, niż Helena i Parys.

Mymamy w poezji naszej arcydzieło na tle uczuć takich, które po gorącym ukochaniu młodości stało się w sercu zaślubionej pary wiernem, głębokim przywiązaniem, jesień życia grzejącem. Alf miał już „włos siwy i wziędle jagody“, gdy noce przepędzał u stóp wieży Aldony, gdy pragnął nitki z jej odzieży, kamyka z murów, zamykających ją w sobie—czegoś, co było jej bliżkiem, a co chciał mieć na sercu, jak tego pragną zawsze ludzie kochający gorąco. Obok wielkiej epopei bohaterskiego poświęcenia, poeta maluje wierną miłość małżonków i stwarza z tego rzecz wysokiej piękności i poetyczności, bo uczucie, któ-

re tu podkład stanowi, pięknem jest i poetycznym w istocie swojej, jak też i autor *Listów* je przedstawia, gdy „dwie dusze łączą się na życie całe.“ „Odtąd uczucia ich nie trawia się już w sobie, nie rozpraszają się marnie w otoczeniu obcych, obojętnych ludzi, lecz skupiają się w jedno ognisko, w jedno współczucie, w jeden akord. Najrozmaitsze upodobania równoważą się, uzupełniają, doskonałą—szczęście osobnionę staje się wspólnem szczęściem, troska wspólną troską, a w tej wspólności, w tem zjednoczeniu, szczęście staje się słodsze, troska lżejszą.“

Nikt piękniej nie przedstawił u nas szczęścia małżeńskiego, nikt piękniej nie zobrazował tego szczęścia, któremu przecież autor postawił za warunek, wzajemną znajomość charakterów, znajomość ich taką, jaka nie daje się osiągnąć w salonie, czy mówiąc naszym starym językiem: w pokoju bawialnym, na zebraniach, koncertach, przechadzkach. Nie dość jest młodej parze wiedzieć wzajemnie, jakim jest stan ich majątkowy, uczciwość, pracowitość i tym podobne przymioty serca i umysłu. Znaczy to bardzo wiele, niezmiernie wiele, ale nie jest jeszcze wszystkiem, i dla zabezpieczenia przyszłości należy obojgu znać wzajemnie charaktery i temperamenta swoje, sposób wychowania, upodobania, nawyknięcia, przekonania religijne, estetyczne, obyczajowe, aby razem poznać i zrozumieć z tego, czy istnieje między niemi harmonia duchowa—harmonia charakterów, bez której niema, nie może być szczęścia w małżeństwie.

Osiągnąć to można jedynie przez poznanie się bliższe, co dać może tylko czas nieco dłuższej znajomości, powtórne rozmowy nietylko „o pogodzie, teatrze, powieściach, lecz o życiu, o stosunkach, o obowiązkach, o pracy, o zajęciach i upodobaniach własnych“ przy czem przecież potrzeba jest, aby rozmawiano „trochę śmielej i trochę poważniej, niż się to praktykuje zwykle.“

Trzeba, aby to było: „śmielej z przyczyny, że zbyt wielkie rachowanie się z konwensami prowadzi do obłudy, do tumanienia się wzajemnego; poważniej, ponieważ śmiałość bez powagi dowodzi tylko chorobliwej emancypacji.“

Trzecim i najważniejszym punktem tych środków, które stanowią o przyszłej harmonii duchowej małżonków jest wyrobienie w sobie *współczucia psychologicznego*, czyli mówiąc inaczej: od uczucia co drugiej stronie miłem, a co jej przykrem być może—co i kiedy jest we wzajemnym ich stosunku do danej chwili, do nastroju uczuć i myśli odpowiedniem—co nie przeszkadza.

Jest to mówiąc inaczej takt z delikatnością połączony: to właśnie, co liczy się do największych przymiotów w pożyciu wspólnem, co też Julian Mohort mieści słusznie między podstawowe warunki harmonii życia i szczęścia małżeńskiego. Jeżeli należy się kobiecie odczuć, „co duch czasu kryje w głębi“ należy jej również odczuć, co kryje w głębi swojej człowiek, z którym dzieli życie. Przecież przykłady podawane przez autora, wykazują takie nie odczuwanie przez żonę stanów ducha mężowskiego, które jest dowodem małości, pospolitości w kobiecie—liczego zatonięcia w drobnostkach życia i uważania rzeczy małych za wielkie. I z rzeczami małemi kobieta gospodyni rachować się potrzebuje, bo one to przecież składają się na tę rzecz ogromną, która jest ładem domowym i harmonią otoczenia naszego—wygodą, dobrobytem męża, prawidłowym ruchem życia domu, w którym rośnie i chowa się dziecko: nabiera nawyknień, mogących wpływać na urobienie się w niem poczucia i zamiłowania porządku. Ale to jest właśnie cechą kobiety wyższej nieco myśli i rozleglejszego na świat poglądu, że z rzeczy małych wielkich nie czyni—że nie lekceważąc ich, znaczenia ich nie przecenia—mężowi „Szopena grającemu“ nie przerywa hałasem o nienastawiony w swoim czasie samowar; nie opowiada mu wtedy, lub w chwili równie nieodpowiedniej, o Marysi, garnkami ciskającej.

W domu dobrej gospodyni, w domu choćby tylko rozsądnej kobiety takich scen, takich Marysi nie bywa, a jeżeli się zdarza przypadkowo, to żona umie to spokojniej i w inny sposób za-

łagodzić. Ta, która tego nie potrafi, nie potrafi wogóle żyć, choćby w pewnej tylko harmonii ducha z mężem i musi to być kobieta, o której przynajmniej słowami poety, że „pokochały się w niej moje oczy.“

Tylko, że „za tym wdziękiem co kochać przymusza“ mogło pójść w ostateczności serce, ale nigdy—przenigdy: dusza! Pokochał się jedynie w ładnej osobce, z ładną osobką się ożenił i nie do takich związków małżeńskich może się odnosić warunek szczęścia opartego na „harmonii duchów.“

Potrzebne jest przecież, dla małżonków, którzy mają być obok siebie szczęśliwymi, potrzebnem jest w stopniu najwyższym *współczucie psychologiczne*, w kierunku uczuć męża i żony dla ludzkości, kraju, społeczeństwa swego: w kierunku tych uczuć wszystkich, które podnoszą szlachetną, uczciwą pierś ludzką, czy jest ona pierś mężczyzny, czy kobiety i pod tym względem powinna istnieć między małżonkami harmonia ducha najwyższa, jeżeli życie objęga niema być rozstrojem i dysonansem—nieładem moralnym i nieszczęściem. Nic to jeszcze w początku, gdy jest ich tylko dwoje: miłość może to jeszcze jakoś łagodzić, choć nigdy nie bez cierpienia—nie bez tajonych łez żony, bez krwιάcego się w milczeniu serca męża, ale cóż, gdy przyjdą dzieci: ich wychowanie, kierowanie ich uczuciem i ich pojęciami? Dzieją się też w zakresie tych stosunków takie rolzinne tragedye okrutne, wytwarzają się takie przepaście boleści, nędzy dusz i serc, takie co chwila łamanie obowiązków to jednych, to drugich, że żadne dantejskie widzenie piekła temu nie sprostą, chyba, że jedna dusza ludzka—żony lub męża: stanie się martwą i odumarłą, zrzecze się „czci świętości swoje.“

Brakiem książki jest, że autorkę stronę rzeczy pominał. Zakończy on ostatni, piąty list do narzeczonej postawieniem sześciu warunków, mających stanowić jakoby kontrakt ich wspólki duchowej. Pierwszą tego kontraktu pozycją jest bezwzględna między małżonkami szczerłość, otóż godząc się na to najzupełniej, pragnęłabym przecież, aby coś podobnego miało miejsce zaraz przy zaręczynach: aby obie strony uczyniły sobie najszczerze wyznanie wiary uczuć, myśli, pojęć swoich o świecie, ludziach, obowiązkach, przy których chcą stać mężnie i uczciwie. Jeżeli przy spisywaniu wstępem owej interczy moralnej wykazał się brak harmonii—wykazały się zasadnicze różnice uczuć i poglądów, małżeństwo nie powinno mieć miejsca, pod karą takich w przyszłości rozterków, takiej dysharmonii, której żadna miłość nie dostroi do chóru szczęścia i godności nieupadłego ducha.

Razem rzecz sumując, dodać należy, że *Listy do przyszłej narzeczonej*, są bardzo dobrym nabytkiem naszej bieżącej literatury, a książeczka ta mała, ładna, w nawiasie dodam: tania, powinna się znaleźć na stoliku każdej panny, która się uważa za „przyszłą narzeczoną“, jakiegoś rozumnego, dobrze i uczciwie patrzącego w życie człowieka.

M. Ilnicka.

ZE SPUSCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira” Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr 45).

Nicość! Otchłań ostateczna! Zdawałoby się, że ztąd już niema powrotu—Ale duch poety, niemogący zadowolnić się negacją, dążący zawsze do ideału dodatniego, ze wstrętem otrząsa się z tych mroków. Dotknawszy samego dna przepaści wątpienia, odzyskuje naraz, jak Anteusz

nowy, całą siłę dawną, całą sprężystość, cały polot orli. Nie mogąc dojść do absolutnej pewności, woli optymistyczną, na przecuciach idealnych opartą wiarę, aniżeli zwątpienie, chociaż to ostatnie więcej realnych zda się mieć podstaw. „Nie, to niepodobna, o, naturo, abys była względem uwiecznionego człowieka, względem ducha, względem stworzenia, tylko wyrazem nienawiści spadającej z tamąd zwysoka!... To niepodobna, aby budowa świata składała się z mroku i głuszy, to niepodobna, by poświęcenie, heroizm, wysilek, wola, mądrość, zorza, hojność wiekuista, prawo, rozum, sprawiedliwość, wszystko, wiara, miłość—miały swój koniec w szyderskim śmiechu ciemności! Nie, to niepodobna, aby w myśli mej mogło powstać to, czego Bóg nie stworzył!... Niepodobna, aby moje marzenie mogło mieć więcej lazuru, aniżeli niebo błękitne, aby nieskończoność była chaotyczną kuieją, abym ja był lepszym od ojca, aby człowiek był większym od Boga! Jakto? Zkądże w myśli mej mogłoby się zrodzić pojęcie o sprawiedliwości Boga, gdyby on był złoczyńcą! W takim razie ja byłbym najwyższą istotą, a on słabą i bezsilną! Człowiek miałby znaleźć w duszy swej jedynie, stworzyć sam w sobie miłość, raj, płomień zachwyty, światło na wysokościach, szczęście nieskończone... W takim razie Bóg byłby nędzarzem, a człowiek—stworcą!... Nie, to ty kłamiesz, zwątpienia zmijo, ty, zawiści! Niepodobna, aby światło, aby nadzieja, aby życie były tylko ohydnym złudzeniem, aby wszystko było fałszem, oprócz błuznierstwa, i aby Bóg sam był w swej pustej świątyni powietrznej tylko olbrzymiem widmem Ironii, spoglądającej wśród mroków nieskończonych na wszechświat wsparty na nicości! Bóg, który szydziłby ze swego dzieła, który śmiałby się z upadku sprawiedliwych, drwił zarówno z labędziami i z węzami, z szatana i z Jezusa, Bóg taki byłby tak straszliwym, że przed tem przerażającym obliczem dusza ludzka zadrgałaby i zaszamotała się, jakgdyby zaważyła białymi skrzydłami o posępne konary drzew w jakimś lesie złowrogim!... Ciemności, ja wam nie wierzę! Ja wierzę w Ciebie, o dniu, o światło, o radości! W Ciebie, który byłeś i będziesz! W Ciebie, mój orle, w Ciebie, moja zdobycz, siło, rozumie, świetności, dobroci! Ja wierzę w Ciebie, wszechmocy! Ja wierzę w Ciebie, wszechniewinności! Tylko w Ciebie, zawsze w Ciebie! Rozbieram istotę mą podług jej części: pierwsza—to światło; druga—to wiara! Boże! Wierzchołku wszystkiego! Zorzo piorunująca! Przepaści światła! Jasności nieskończone! Straszliwa mocy czarodziejska, co rządysz człowiekiem i czynisz go lepszym! Ogarniasz nas dokoła, jak otchłań bez granic! Gdy człowiek znajdzie się na tej górze podniebnej, na tym szczycie, gdzie pycha milknie, na tym wierzchołku, dokąd wszystkie instynkta go ciągną, — nagły zawrót głowy może go strącić tylko w przepaść enoty. O, padajcież w tę otchłań, żyjący! Wielcy i mali, mędrcy i szaleńcy, ci, którzy śmieją się, i ci, którzy cierpią,—wszyscy, wszyscy, wszyscy! Padajcie na łono Boga, tłumy obłąkane! Padajcie, padajcie, nabiegajcie, jak fale przypływu! Stań w osłupieniu, ciemna Ludzkości, nad nicością niepoliczonych swych rojeń, zdumiewaj się, żeś takie przeżyła ciemności, aby na taki wydstać się lazur!“¹⁾

Oto wspaniałe, natchnione, hymnowe wyjaśnienie tyle komentowanych w swoim czasie słów ostatniego przedśmiertelnego testamentu Wiktora Hugo: „*Je crois en Dieu.*“ Uzupełnienie to owej lakonicznej spowiedzi w obliczu wieczności. Poeta właśnie wymaga owej mimowolnej jakiejś, a nieustannej vibracji uczuć uwielbienia, dziękczynienia i miłości, która czyniłaby nieledwie niemożliwym istnienie człowieka bez pojęcia o Bogu i wiary w Niego.²⁾ Pragnąc duszą całą takiego wewnętrznego zespolenia ludzi z Bogiem, marzy o szczęśliwym stanie wszechświata, w którym owo poczucie istnienia

Boga, falując we wszystkim, spływałoby z konieczności i w serce człowieka; w którym „nie potrzeba byłoby trudnić się, aby odczuć, że się jest kochanym tam wyżej w nieskończoności“; w którym nawet ciemne, ułomne źrenice człowieka, jak w zwierciadle olbrzymiem, dostrzedzby musiały na tle wspaniałem wszechbytu promienistą łunę słońca Wszechmiłości.¹⁾

Za wiarą w Boga, tak głęboką i gorącą, idzie wiara w nieśmiertelność duszy ludzkiej na łonie Jego. Świadczą o niej liczne ustępy tej księgi. Oto przepiękny „Napis na grobowcu.“ Człowiek urodził się, nie wiedząc na co; przeszedł życie, gdzie więcej bólów, niż radości; zbliża się godzina śmierci, a z nią nowa niepewność, nowa trwoga przed nieznaną przyszłością. „Czy duchem jestem? Czy Bóg istotnie mnie oczekuje? Nic mi nie daje wyjaśnienia i ta podwójna niewiadoma, drżąc nad moim tapczanem, zwiększa wciąż liczbę swych X tajemniczych.“ „Ostatnia chwila konania nadchodzi: Błada trwoga przepaści w słupek stawia me źrenice, światłość ziemską gaśnie w mych oczach, błędnie, niknie... Lazur, lazur, lazur! Bóg żywy! ja mam skrzydła! O błękity, głębokie nieskończoności!“²⁾

Takąsamą wiarą w nieśmiertelne życie zagrobowe i pogodną ufnością w większe tam szczęście, niż tu na ziemi, tchną: czarowne wezwanie do ufności i nadziei (Oh, powiedz)³⁾, trzy przedziwnej prostoty „Nagrobki dzieciom,“⁴⁾ oraz tęsamą, co one, myśl wypowiedzająca reflexy filozoficzne: „Żadne skrzydło na ziemi długo spoczywać nie może...“⁵⁾

Wiara ta w lepszą przyszłość pozagrobową, tem jaśniejszym wyblyska promykiem na posępnym tle pesymistycznych rozmyślań o dzisiejszym życiu na ziemi, gdzie „miłość dzisiejsza zmienia się jutro w nienawiść,“ gdzie „połowicznie tylko żył ten, kto nie był przez nikogo nienawidzonym,“⁶⁾ gdzie po „naszych dniach bez radości i honoru,“ po tej stęchliznie, jaka dławi dzisiaj i oddech zabija, poeta przewiduje straszny, niewidziany dotąd zamęt i chaos, po którym dopiero może przyjdą owe wieszczone przezeń gdzieindziej dni szczęśliwsze, a który przybiera w apokaliptycznej jego wizji kształt potwornego, olbrzymiego, przerażającego ptaka, nieznanego form i rodzaju, tak dzikiego i ohydne, że lwy kamienne, śpiące wśród pustyni bez granic, a postaciujące w tej wizji pełną oczekiwaniami niepewnego osłupiałość i nieruchomość czasów dzisiejszych, zrywają się i z rykiem przeciagliwym uciekają w dal niedojrzana.⁷⁾

VI.

Księgę czwartą „Całej liry“ poświęca autor sztuce i literaturze. Poezya, muzyka, sztuka dramatyczna, krytyka, ogólne zagadnienia estetyczne i estetyczno-społeczne — oto co stanowi treść tego działu. Niestety, fragmentów to garść tylko; poeta nie zdążył ostatecznie ukształtować i zaokrąglić tego cyklu, i jakkolwiek w ułamkach tych czujemy lwie pazury wielkiego twórcy „William Shakespeare’a,“ „Mieszanie literackich i filozoficznych,“ oraz jak trąby bojowe brzmiących przedmów i wstępów do rozmaitych cyklów poezji i dzieł dramatycznych, całość jednak sama przez się nie charakteryzuje z dostateczną ścisłością i jasnością olbrzymiego i wielostronnego jego oblicza. Ilustracje to tylko poetyckie, częstokroć olśniewające żywością barw i potęgą konturów, do tych i owych, wypowiedzianych gdzieindziej systematycznie i konsekwentnie, poglądów autora na kwestye piękna, sztuki, poezji i ich stosunku do dobra, prawdy i szczęścia Ludzkości. Przepyszne to uzupełnienia i parafrazy pojedynczych ustępów wspaniałe-

go *credo* estetyczno-poetyckiego, jakie wieszczę francuzki, kształtując je w sobie zwolna wypowiedział w niepoliczonych prawie utworach poetyckich i w wymienionych powyżej pracach prozajicznych, a jakiego najpiękniejszym wyrazem jest, wspomniane również, niezgłębione morze myśli, zwane księgą W. Hugo o „Shakespeare.“ Ozdoby to i ornamenta tylko, precudne niekiedy i zdumiewające przedziwną plastyką, a mające podnieść jeszcze wspaniałość i czar imponującego już i tak bogactwem niezmiernem piękna i duchowości gmachu estetycznych pojęć poety. Warto im się przyjrzeć. Oto na samym początku, jakby ułomek przepięknego fryzu, który miał zdobić fronton świątyni postaciujący słoneczną epokę nierozwiązalnie złączoną z naturą sztuki greckiej.¹⁾

Uzupełnia ten pierwszy ustęp pełna podobnej słoneczności, wesela i zapału, krótka pieśń na cześć dwóch wielkich epików greckich.²⁾ Gdzieindziej, jakby werset jakiś napisany na wolnym ścianie załamku, zwraca uwagę naszą parowierszową a jędrną charakterystyką hexametu;³⁾ owdzie znów wyraziste, choć maleńkie, popiersie Shakespeare’a⁴⁾ uderza wybornie pochwyconą cechą albiońskiego wieszczę, którą stanowi niewyczerpana pełnia treści i życia...

Ale zbliżamy się do czasów spólcześniejszych — i usuwając się w tamtych ustępach na plan drugiego oblicze autora-artysty coraz wyraźniej ukazują się nam zaczyna. Oto, jakby uzupełniając wypowiedziane gdzieindziej zdanie, że „teatr jest tygłem cywilizacji, miejscem wielkiej komunii wszechludzkiej,“⁵⁾ rzuca poeta „wielkiemu aktorowi“ garść ważkich jak złoto, jak złoto szlachetnych i jak złoto, dźwięcznych radi uwag.⁶⁾

Obok zaraz uderza nas energiczny wybuch oburzenia poety przeciwko dyletantyzmowi, frazeologii i hypokryzyi, połowicznie tylko, bez przekonania i, co za tem idzie, bez zapału należnego traktującym dany przedmiot: „Hańba marnym filozofom i bezużytecznym artystom, którzy w swój styl nie wkładają krwi swej i serca! Hańba sofistów, którzy zasiadłszy na progu cnoty świątyni, komentuje Platona, nie rozmyślając o Brutusie! Hańba tym, co hałaśliwie kochają ojczyznę i publicznie z bałwochwalczą czcią chyli się przed nią, a gdy przyjdzie godzina zamętu, niebezpieczeństwa, nie mają dla niej tyle miłości, aby za jej szczęście pójść na wygnanie! Hańba trybunowi, który woła na lud, aby szedł za nim, a który czuje w duszy nikczemne życia pragnienie! Hańba retorowi, który powiada: Postęp, Ludzkość, Przyszłość! nie godząc się na widmo Kalwaryi tuż obok...“⁷⁾ — Gdzieindziej znów⁸⁾ znajdujemy poetycką parafrazę wielokrotnie powtarzających się w przedmowach do pierwszych publikacji wieszczę francuzkiego wojowniczych wystąpień przeciwko schematyzmowi, bezdusznosci i zimnej prawidłowości, jakie przed wystąpieniem romantyków panowały niepodzielnie prawie w literaturze i sztuce francuzkiej, przeciwko „*dobremu smakowi*,“ temu pseudoboskiemu prawu, które tak długo ciążyło nad sztuką, że zdołało wyniszczyć prawdziwe piękno, przekładając nad nie to, co ładne⁹⁾; przeciwko bezmyślnemu zamknięciu się w suchych regułach, tamujących wszelki rozwój i postęp, które sprawiło, że „gdy inne narody mówiły: Homer, Dante, Shakespeare, — Francuzka powtarzała ciągle: Boileau.“¹⁰⁾

(Dalszy ciąg nastąpi.)

- 1) Ks. IV, 1, tom I, str. 257.
- 2) Ks. IV, 18, tom I, str. 301.
- 3) Ks. IV, 6, tom I, str. 271.
- 4) Ks. IV, 12, tom I, str. 287.
- 5) „William Shakespeare,“ ed. libr. intern., 1869, p. 105.
- 6) Ks. IV, 4, „Do wielkiego aktora,“ tom I, str. 263.
- 7) Ks. IV, tom I, str. 261.
- 8) Ks. IV, 9, tom I, str. 277.
- 9) „William Shakespeare,“ ed. jak wyżej, str. 77.
- 10) Przedmowa do „Orientales,“ ed. Hachette’a—1882, str. 7.

1) Ks. III, 25, „Światło,“ tom I, str. 247.
2) Ks. III, 8, (Godzina czwarta rano) i 11 (Oh, jak człowiek jest niczem...), tom Iszy, str. 189 i 195.

1) Ks. III, 19, tom I, str. 221.
2) Ks. III, 22, „Napis na grobowcu,“ tom I, str. 229.
3) Ks. III, 21, tom I, str. 225.
4) Ks. III, 3, tom I, str. 175.
5) Ks. III, 4, tom I, str. 177.
6) Ks. III, 12, „Do Pawła M,“ tom I, str. 197,
7) Ks. III, 18, tom I, str. 217.

S Z W A B

SZKIC DO POWIEŚCI.

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dalszy ciąg).

Młodzieniec nie bronił się. Poraz pierwszy przemówił do niego ktoś z kraju tak serdecznie, witał go bratnio, jak dawnego znajomego. Teraz dopiero zrozumiał, że przybył między swoich, i zapomniał natychmiast o doznanych poprzednio przykrościach.

Byłby się z rozkoszą rzucił w objęcia starszka, byłby złożył skroń na jego piersi. Pomiarował się jednak i wyrzekł tylko głosem stłumionym:

— O, dziękuję, dziękuję...

— Tylko ty się na mnie nie gniewaj, panie Mieczysławie, że ja tak sobie z tobą bez ceremonii—mówił starszek—ale bo widzisz, twój wuj a ja, to jakby krewni...

On miał się na niego gniewać? Za co? On marzył przecież o takim przyjęciu, o ludziach otwartych, szczerych, o sercach ciepłych i gorących uściskach dłoni.

— Niezawsze byłem ja takim niedołągą... ho, ho—prawił starzec dalej.—Kiedy stanąłem swego czasu przed frontem, to i najodważniejszym officerom sztywniały ze strachu języki w gębach. Ho, ho... panie dobrodzieju.

Starzec usiłował się wyprostować. Wysoki, szczupły, trzymał się już pochyło. Niegdyś musiał być przystojnym. Dziś została mu po dawnej urodzie jedynie biała, jeszcze gęsta broda i długie siwe włosy, sięgające prawie do ramion.

— Na nic to się zdało — mruzczał do siebie.— W głowie i w sercu wiosna, a w kościach zima, śmierć. Co było, przepadło, tfu! Ale ja tak sobie gadu, gadu, zwyczajnie stary — zawołał żywiej— a ty nawet nie wiesz, kto z tobą tak za pan brat. Ba, było-to tam kiedyś inaczej! Miał się folwarki i cugi, konie i zaprzęgi, wszystkiego w bród; ale rozleciało się to jakoś po świecie. Panie dobrodzieju, kiedyśmy z Witoldem jechali w konkury, to aż się piasek za nami gotował, to, to... panie dobrodzieju. A dziewczęta, to do nas lgnęły... fu, fu, aż inni żółkli z zazdrości. Kiedyś się raz kopnął do Wandy... Co też to człowiek nie wygaduje! a chciałem ci tylko powiedzieć, ktom zasz. Szulc, panie dobrodzieju, Władysław Szulc, do usług.

— Władysław Szulc — powtórzył Mieczysław i zamyslił się.

— No, tensam, co Niemców zbil na kwaśne jabłko — pomagał stary. — Musiała ci matka o mnie mówić, bo i do niej cholewki smałem.

— O, jakże mogłem zapomnieć, choćby na sekundę, nazwiska tak zasłużonego męża? — wyrzekł Mieczysław. — Słyszałem o panu dużo, a nawet czytałem.

— Toś ty i popolsku czytała? Bo-że mówisz dobrze, jakgdybyś się w kraju wychował, to słyszę. U nas gadano, że panią Annę jej małżonek zawojował.

— Dom nasz był nawskroś polskim—odpowiedział Mieczysław.

— Patrzcie, patrzcie! Nie myślałem, żeby pani Anna była tak dzielną kobietą. Snadź nie wyrodziła się, a przednia to była krew ci Suchorzewscy. Chłopy rosłe, tęgie do bitki i wypitki, a serce zawsze w garści.

Wtem zbliżył się do rozmawiających „numer czwarty“, wysoki mężczyzna z czarną brodą.

— Panowie pozwolą — odezwał się — że się przedstawię. Jestem Karol Rydel.

— A z jakich to Rydlów, panie dobrodzieju? — zapytał pan Szulc.

— Z tych, co mieszkają pod Kołem — odparł pan Rydel.

— Znam, znam — mówił Szulc. — I ojciec jegomości był ze mną pod Miłosławiem, a walił pludrów za trzech.

— Ojciec mój opowiadał często o waleczności pana dobrodzieja.

— Było tam coś, było—nie warto o tem gadać. Robiło się, coby każdy inny zrobił—i tyle. Kiedy człowiek stoi w ogniu, to i kropi. Bo co ma innego robić? Gdyby nie bił, obiliby go inni. A tośmy się dobrali, jak Pana Boga kocham! Sama dobra krew, same tęgie wiarusy, co to nie z soli ani z roli, tylko z tego, co boli. Oj, oj, bolało nieraz, a najwięcej wtedy, kiedy swoi zapomnieli.

Stary spojrzął w zadymiony sufit brudnej karczmy. Jakiś szklisty odblask zaświecił w jego przyciągającej źrenicy.

— Co tam! Robiło się, co było trzeba, a reszta, to już w ręku Przedwiecznego — mruknął, machnąwszy zwiędłą ręką.

Z pod pieca, gdzie dotąd stał, wysunął się handlarz i, zbliżywszy się do panów, wyrzekł:

— Niech ja wielmożnym panom też powiem, jak ja się nazywam.

Żyd lypnął chytrze oczami.

— Jasek Slesiński, do usług wielmożnym panom — dodał, zgiąwszy się w łęk.

Mimowoli spojrzeli podróżni po sobie. Jedyny między nimi człowiek, nie przyznający się prawdopodobnie do narodowości polskiej, nosił imię z brzmieniem krajowym.

— A tobie co do nas? — fuknął pan Szulc.

— Nu, ja słyszał, że wielmożny pan—(tu ukłonił się Mieczysławowi) — jest od siostry pana Suchorzewskiego. Oj, oj, co to był za bogaty pan!

— Proszę panów, bo już konie zaprzężone — odezwał się konduktor pocztowy.

Podróżni wsiedli znów do karetki, ale nie zachowywali już dawnego milczenia. Pan Szulc, uszczęśliwiony, że znalazł chętnych słuchaczy, przypominał młodemu towarzyszowi wypadki z r. 1848, w których brał bardzo czynny udział, nie tylko jako zdolny officer, lecz także, jako organizator. Ze wspomnień wojennych przeszedł na smutne dni rozczarowania i tułactwa, opowiadając bez ładu, piętząc zdarzenie na zdarzeniu.

Mimo to polykał Mieczysław każdy szczegół. Wcisnięty w róg karetki, wstrzymywał oddech, aby nie uronić ani jednego słowa. Krew krążyła szybciej w jego żyłach, łomocąc w skroniach, a oczy jego błyszczały, jak u młodego wilka, gdy przypatruje się z ukrycia harcom starych.

— O, gdyby on tam był!

Czuł, że nie ustąpiłby w niczem weteranom, że szedłby na groty i kule, jak na zabawę, że zapomniałby o sobie, o całym świecie, a bił i bił...

— Dlaczego nie urodził się w tych czasach!...

Podróżni ani się spostrzegli, kiedy minęli drugą stacją i zbliżali się do trzeciej, do Koła.

— Ale to było, było — prawił pan Szulc. — Inna teraz nadeszła epoka, jak gloszą młodszy, inni też są ludzie, inne pojęcia i uczucia. Dziś handlujemy, orzemy, budujemy fabryki, zakładamy różne przedsiębiorstwa przemysłowe, stajemy się nie na żarty praktycznymi. Ho, ho, nie przystępuj bez kija. Co-to teraz za rezon u tej młodzieży! Zaledwie zaczęło pisklę żyć, a już pojadło wszystkie rozumy i patrzy na starych, jak na upiórów. „My mądrzy, my rozsądni, a wy osły i durnie; my naprawiamy, coście wy zepsuli.“ O, dla Boga! Niby to teraz lepiej? Dawniej nie wiedział człowiek nic o tych wszystkich zagadnieniach i kwestjach, ale miał co jeść i nie tracił humoru. A teraz bieda, że strach, a wesela to szukaj, choćby między dziadami, bo młody to się ani rozśmiej, ani poswywoli, jeno zamroczy się i medytuje.

— Bo też cięższe teraz czasy — wtrącił pan Rydel.

— Potrosze to i prawda — odparł Szulc — lecz takie, czy inne czasy, zależą zawsze od ludzi. Nic dziwnego, że musi być źle na świecie, kiedy nawet zaczątkowie szkolni marzą dziś już tylko o zarobku. Okropnie—śmy zmarnieli.

— Inne obecnie warunki—zauważył znów pan Rydel.

— Nie przeczę, ale i warunki wytwarzamy

sobie sami. Kiedyśmy sobie powiedzieli, że musimy robić przedewszystkiem pieniądze, to nie będziemy ich mieli nigdy dosyć. Więcej, ciągle młodości bywało lepiej. Nie liczyliśmy się z groszem, tak jak wy,—przyznaję, że puściliśmy dużo; ale też za to, gdy który z nas zubożał, nie ginął pod płotem. Zawsze się ktoś znalazł, kto mu rękę podał.

— Dziwiłbym się bardzo — odezwał się Mieczysław — gdyby dziś było inaczej.

— Zaraz widać, że nie chowałeś się w kraju — mówił Szulc. — Zmieniło się w ostatnich czasach dużo, oj, zmieniło. Ot, weźcie np. mnie, Niby to mam poza sobą jakieś zasługi, jak dobrzy ludziska mówią, niby nie skąpiłem, dopóki starczyło. Dwie kompanie wysztyftowałem własnym kosztem i utrzymywałem przez kilka tygodni, nie odmawiałem nikomu, kto się do mnie zgłosił, rozdałem majątek między potrzebujących; a teraz przyjdzie mi za to przymierać na starość głodem.

Mieczysław poruszył się na siedzeniu.

— Zawiniło się tam trochę, zawiniło — oskarżał się stary. — Nie byłem nigdy rządym gospodarzem, bo miałem co innego w głowie. Kropiło się Niemców, potem wałęsało się po różnych krajach, w końcu bawgrało się tam jakieś książczyska, bo człowiek chciał swoim radzić, jak umiał. Służba kradła tymczasem, przyjaciele dopomogli i przyszło do tego, że mnie Towarzystwo Kredytowe pozbawi dla dwóch tysięcy rubli dachu nad głową.

— To być nie może — zawołał Mieczysław.

— Nietylko może, ale będzie. Dwa tysiące rubli? Boże kochany, jaka to drobnostka! a jednak nie chce mi ich nikt pożyczyć. Mają racją, bo z czegoż oddam? Towarzystwo sprzeda mnie za tydzień i wyrzuci na ulicę, jak psa, który się panu swemu przykrzył.

— Czyby się rzeczywiście w całym kraju nie miał nikt znaleźć, coby panu chciał pomóc? — zapytał Mieczysław. — Przecież to obowiązkiem społeczeństwa pamiętać o starości mężów, którzy mu młodość swoją poświęcili.

Szulc zaśmiał się ochryple.

— Dziwnym językiem mówisz, mój chłopcze — wyrzekł — językiem młodości mojej. Tak my wierzyliśmy, ale to była głupia wiara, jak synowie nasi dowodzą. Każdy powinien myśleć o sobie, a gdy tego nie potrafił, niech przepadnie. Ja zapomniałem o sobie, bo mnie rodzice nie nauczyli samolubstwa, i dlatego muszę zginąć. Moja wina—wiem o tem. A kraj, społeczeństwo? Nie mamy już beneficjów, ani urzędów do rozdania, nie możemy osłodzić nieudolnych lat naszym emerytom. Jesteśmy ubodzy i biedni, odarci ze wszystkiego. Wiem i o tem, a przecież trudno mi się pogodzić...

Stary zamilkł. Migające światło lampki padało na jego zwiędłą, pomarszczoną twarz. Bezbarwne oczy zwróciły się w górę, jakby do nieba, i zaśniły powtórnie odblaskiem wilgotnym.

— Zmarnieliśmy okropnie — mówił Szulc dalej cichym, drżącym głosem. — Złamały się charaktery, porysowały się, pogięły. Przybyło nam trochę rozumu, a ubyło dużo szlachetności i czystości. Podlegamy—o Boże! sto lat... sto lat...

Nagle podniósł żywo głowę i, machnąwszy ręką, rzekł:

— Wszystko mi jedno. Pójdę pod płot i zdechnę, jak wysłużony stróż podwórzowy, ale prosić nie będę nikogo. Obrzydły mi te rozumy dzisiejsze.

Pocztylion trąbił już od kilku minut, dobywając z starej blachy ochryple dźwięki. Karetką zatrzymała się przed jakimś domem. Była to poczta kolska.

Gdy wysiadali z powozu, nachylił się Mieczysław do Szulca i zapytał:

— Więc za tydzień mają pana zlicytować?

— A za tydzień; ale tobie co do tego?

— Chciałbym panu dobrodzieju złożyć poprzednio uznanowanie.

— To się pośpiesz, bo za kilka dni nie mógłbym cię już ugościć pod własnym dachem. Zostanę przez dwa dni w Kole, gdyż chcę tu jeszcze próbować, czy się nie da odwlec terminu sub-

hasty, lecz we Wtorek będę już w domu. Bywaj zdrów i pamiętaj o starym gadule.

Mieczysław wsiadł do powozu, który czekał na niego przed pocztą, i wyruszył natychmiast w dalszą drogę.

Druga połowa opowiadania Szuleca rzuciła nową a jaskrawą smugę światła na stosunki kraju, w którym miał odtąd zamieszkać.

Jakieś ogniwo rwało się w łańcuchu jego marzeń...

III.

Majątek sp. Witolda Suchorzewskiego leżał nad samą granicą pruską.

Główna wieś wyciągnęła się sznurem z dwóch stron drogi, wysadzonej topolami. Szare chatki chylące się ku ziemi, przed każdą ogródek, kilka drzew owocowych, z tyłu chlewiki i obórki, tu i owdzie studnia z żórawiem, lub porządniejszy płot—oto Plewiska.

Był to krajobraz pospolity, znany, urozmaicony zwykłą w znaczniejszych siołach ozdobą kościółka otoczonego cmentarzem.

Miejscowość wyrosła z rozległych pól, ciągnących się daleko, aż pod ciemny bór, zamykający od północy widnokrąg.

Takisam wygląd posiada w Polsce tysiące włości. Cała różnica, że jedna nazywa się tak, a druga owak.

Mimo to opanowało Mieczysława dziwne wzruszenie, gdy zbliżał się do ojcowizny swych przodków po kądzieli.

Już dniało, kiedy stangret, uchyliwszy kapełusza, wskazał batem na gromadkę domków i wyrzekł:

— To Plewiska, jaśnie dziedzicu.

— Plewiska?

W oczach Mieczysława błysnęła radość. Wzniósł się cokolwiek na siedzeniu i spojrzął przed siebie.

— Plewiska — powtórzył zeicha, zdejmując czapkę z głowy.

Wóznica oglądał się wokoło. Zdawało mu się, że musi być gdzieś w pobliżu jaka Boża Męka lub figura. Nie spostrzegłszy żadnego znaku pobożności ludzkiej, zdziwił się wielce.

— Dlaczego też dziedzic zdarł ze łba czapczyisko? Może mu gorąco, albo co.

Dziedzicowi nie było gorąco; serce mu tylko drgało w klatce piersiowej.

— Więc tu mieszkali przez lat trzysta antenaci moi, z tego to guiazdka wyfruwali w świat, do młodych orłów podobni, czynów spragnieni i służby obywatelskiej!

Powóz wjechał w aleję topolową. Konie, poczuwszy własne stajnie, zarżały; chłopci, poznawszy ekwipaż dworski, kłaniali się uniżenie.

Mieczysław włożył czapkę na głowę i uśmiechał się przyjaźnie do wszystkich twarzy.

Nagle zwrócił się do stangreta:

— Wież mnie na cmentarz—wyrzekł.

Wóznica wytrzeszczył na pana zdziwione oczy, lecz nie śmiał zapytać o powód tego rozkazu.

— Tu mogiłki jaśnie dziedzica—mruknął, stanawszy przed furtką, wiodącą do mieszkania umarłych.

Mieczysław pobiegł między groby i szukał czegoś oczami. Znalazł.

Wśród żelaznego ogrodzenia świecił biały krzyż z marmuru, a na nim złoty napis: „Ś. p. Witold Suchorzewski, b. officer b. Wojsk Polskich. Żył lat 65.“

Wdzięczny siostrzeniec zgiał kolano przed prochami wuja i przetrwał w tej postawie dość długo.

We wsi wiedzano już, że nowy dziedzic nadjechał. Ze wszystkich chat wybiegali robotnicy i śpieszyli na folwark, znajdujący się przy końcu alei. Stary dwór, dawne pamiętający czasy, zajmował razem z ogrodem jeden bok wielkiego czworokąta. Trzy inne zapełniły budynki gospodarskie, wystawione z palonej cegły, czerwona pokryte dachówką.

Na dziedzińcu panował ład wzorowy. Obszer-

ny, wybrukowany, zamieciony czysto,—mógłby się być współubięgać o nagrodę konkursową z niejednym rynkiem małego miasteczka.

Kiedy się wolant zatrzymał przed domkiem modrzewiowym, przyjęło Mieczysława ponure milczenie. Kilkudziesięciu ludzi tłoczyło się pod gankiem, spoglądając z podłeba na człowieka od którego odtąd miała zależeć ich dola i niedola.

On wyskoczył z powozu, stanął na kamiennych stopniach, wiodących do sieni, i ogarnął szybkim spojrzeniem podwórze, zabudowania i wieśniaków. Był to bystry wzrok znawcy, który umie ocenić to, na co patrzy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—wyrzekł głosem dźwięcznym.

— Na wieki wieków, amen—odpowiedziano.

— Witam was, panowie gromada—mówił Mieczysław.—Obejmując z dniem dzisiejszym rządu w dziedzictwie mojem z tą nadzieją, że znajdę w was wierne sługi i dobrych sąsiadów, oświadczam wam z góry, że krzywdy nieczyjej nie pragnę, ale i o sobie pamiętać umiem. Uczciwy i pracowity nie porzuci mnie; podłego i leniwca sam wypędzę. Tyle chciałem wam na początek powiedzieć.

A zwróciwszy się do kilku osób, ubranych w surduty, trzymających się na uboczu, zapytał: — Który z was jest rządzca?

Z gromadki wysunął się wysoki, barczysty mężczyzna, stąpający, mimo siwych włosów i białego wąsa, krokiem pewnym, a wyprostowany po żołniersku.

— Do usług pana dziedzica—odezwał się starzec.

— Pan jesteś panem Marcinkowskim?

— Do usług, panie dziedzicu.

— Dzień mojego przyjazdu, panie Marcinkowski, niech będzie świętem uroczystym dla mieszkańców Plewisk—rozrządził Mieczysław.—Nie wolno dziś nikomu pracować, kto odemnie zależy. Wypłacisz pan każdemu po rublu i wydasz ze spichlerza po korcu zboża na głowę.

Szmer zadowolenia zaszumiał nad gromadą. — A teraz wracajcie do siebie i bawcie się—zawołał Mieczysław.—Tylko proszę nie upić się zanadto i nie robić mi hałasu po wsi, bo nie zniosłbym takich nieporządków. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, amen—rozległo się teraz głośno i wesoło.

Już chciał Mieczysław wejść do dworu, kiedy oko jego padło na owych „surdutowych.“ Oryginałna to była kollekcja—w znacznej części starcy, kalecy, chorzy. Jednemu brakowało ręki, drugi opierał pół nogi na kuli, trzeci miał oko przesłonięte opaską. I kilka kobiet kryło się bojaźliwie za plecami mężczyzn.

— A to kto?—zapytał Mieczysław.

— To emeryci, panie dziedzicu, jak ich nieboszczyk pan nazywał—tłumaczył rządzca.—Wszystko to słudzy ś. p. pana Suchorzewskiego ekcnomi, kucharze, leśni i gospodynie. Gdy komu maszyna urwała rękę, rozbiegany koń albo stadnik skaleczył nogę, gdy choróbko jakie powaliło biedaka,—wtedy nie wypędzał pan Suchorzewski mizeraka, jak psa na drogę, jeno prawił: zostałeś u mnie inwalidą, więc obowiązkiem moim pamiętać o tobie. I poobsadzał ich pocziwe panisko na chałupach, ponadawał im trochę gruntu, powyznaczał ordynaryą, aby nie potrzebowali iść pod kościół. Dobry—to był pan, Panie, świec nad jego duszą!

— Panie świec nad jego duszą! — powtórzyli „emeryci.“

— Świec, o świec—wymówił Mieczysław zeicha.

— Wracajcie do domu, zaci ludzie — rzekł, podnosząc rękę nad starcami. — Wiernych sług mojego dobrodzieja zostaną i ja opiekunem i przyjacielem. Nie obawiajcie się, bo nie zmienię nic w postanowieniach nieboszczyka. Nie rozłączymy się już do śmierci.

Emeryci cisnęli się do niego, a on wyciągnął nad nimi powtórnie prawicę, jak kapłan błogosławiący pobożnych, i znikł w głębi dworu.

Po dwóch, po trzech rozchodzili się chłopci po dziedzińcu, dziwiąc się temu, co się stało.

— Co też to ludzie nie gadają! — mówił wódnarz do stelmacha. — Powiadali, że on Niemiec, a on nasz... katolik... jak Pan Jezus przykazał.

— I grzeczny pan, oj, grzeczny — zauważyła żona stangreta. Widzi się, że mu się iskry z oczu syją, tak ogniście patrzy.

— Żwawy, bo żwawy—łodał kowal —Trzeba będzie młotem machać, bo on nie daruje. Ale sprawiedliwy, to i człowieka uszanuje.

W ten sposób określali wieśniacy nowego pana, zmierzając do karczmy.

Mieczysław wszedł tymczasem do obszernej sieni, której ściany, ozdobione młóztwem rogów jelenich, główek sarnich i łbów dzików,—świadczyły o myśliwskich upodobaniach zmarłego właściciela Plewisk.

W sali stołowej zatrzymał się spadkobierca dłużej.

W niskiej izbie z poczeriałym sufitem wisiał szereg portretów. Wschodzące słońce pochmurnego dnia listopadowego oświecało słabo kilkanaście staroświeckich postaci. Byli tam wojownicy w zbroi, rycerze w kołpakach, ziemianie w kontuszach i niewiasty w robionach.

Mieczysław stanął na środku pokoju, skrzyżował ramiona na piersiach i wodził okiem wokoło. Zdawało się, że twarze wystąpiły z ram i ożyły w jego obliczu. Daleki potomek odziedziczył rysy przodków swoich po kądzieli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ECHA LWOWSKIE.

D. 1 Listopada 1888 r.

Nic tak człowieka nie uszlachetnia, a powiedzmy z Hedonistami, i nie bawi, jak myśl o samostności. Dziecię, choćby nie wiedzieć ile razy, potykając się, potłukło się boleśnie, pomimo to ciągle próbuje dalej stawać, wołając:—Sam, sam! Do tej zapewne kategorii uczuć trzeba przeważnie zaliczać i uczucia ludów, pragnących widzieć u siebie samorząd, bez względu na niepotrzebne wydatki, jakie ten za sobą częstokroć pociąga, i zbytne komplikowanie zarządu.

Nie myślimy przez to wcale ujmować doniosłości działaniu ciał autonomicznych; chcieliśmy tylko zaznaczyć, że wszelka domniemana bezcelowość społeczna, jest poniekąd ćwiczeniem, które poomacku do wielkiego celu doskonałości nieprzymuszonej prowadzi.

Przed tygodniem odroczone nasz sejm krajowy, który rozpoczął obecnie 6-ą sessyą 5-go okresu. Sessyi obecnej nie uważamy bynajmniej za bezowocną lub gorszą od poprzedzających: podobną jest ona zupełnie do dawniejszych, dorzuciła i ona swą cegielkę do budowy mającej na celu naprawę naszych wewnętrznych stosunków, bądź społecznych, bądź ekonomicznych.

Bezbarwność chroniczna sejmów galicyjskich bodaj czy nie jest najlepszą rekojmnią ich trwałości i pewnego rodzaju popularności, dającej możliwość przeprowadzenia rok po roku niejednej zbawiennej reformy lub niesienia pomocy poza prawomocnością ustaw wprowadzanych przez rząd centralny.

Działalność tegorocznego sejmku w zakresie prawodawczym zabsorbował dla siebie przeważnie projekt propinacyjny, i dlatego uchwalono zaledwie trzy ustawy, i to jeszcze początkiem swoim sięgające sessyi przeszłoczonej. Ważna ustawa dla miast powinna tu zająć najpierwsze miejsce. Życie ze swemi nieodbitemi potrzebami dawno już na nią czekało. Podczas uchwalania jej zebrał się we Lwowie wiec miast, reprezentowanych przeważnie przez burmistrzów. W związku z nią znajduje się inna ustawa, wskazująca zasady budowlane dla miast. Dzięki nowemu porządkowi przepisane przez ustawę powoli przeobrażać się będą te patryarchalne gnieździska chałatowego bezładu i brudu. Trzecią i ostatnią w rzędzie uchwalonych ustaw

jest szkolna: o stosunku prawnym nauczycieli szkół ludowych, przyczem—niech to będzie na pochwałę sejmu obecnego,—płaca nauczycieli wiejskich i miasteczkowych znakomicie podniesioną a ich swoboda osobista i poszanowanie przez zwierzchność dostatecznie obwarowanemi zostały.

Głośnie, może aż zanadto, sprawa propinacyjna, jak ze wszystkiego wnosić należy, pomimo wielkich przeszkód, znajdzie teraz ostateczne swe rozwiązanie. Niektórzy, i to tak wybitni rzecznicy, jak p. K. Grocholski, prezes Koła Polskiego w Wiedniu, usiłowali wrócić do ustawy z r. 1875, zabezpieczającej posiadanie propinacji właścicielom aż do r. 1910; wykup przecież ma być już teraz skuteczniejszy, a na to potrzeba około 60 mil. złr.—same zaś procenta wyniosą przeszło 4 mil. złr. Rada Państwa dała już ze skarbu 1 milion złr. reńskich corocznej indemnizacji; 3 mil. złr. zatem musiały dopłacać kraj, czyli dawać od siebie prawie tyle, ile kosztuje cała autonomia Galicyi. Nic-by jeszcze przeciwko temu mieć nie można, gdyby nie olbrzymie przeciążenie podatkami i powinnościami monarchii, usiłującej teraz zająć odpowiednie stanowisko militarne i polityczne wobec zagranicy. Przy podrożeniu raptownem wódki, wskutek zaprowadzenia pięćkroć wyższej akcyzy, domorsłym naszym Demostenesom, wzdychającym do mandatów poselskich, bardzo łatwo byłoby z tej racji podburzyć opinią kraju.

W rządzie innych prac ustawodawczych, niezalatwionych wszakże na tej sessyi, zwróciły na siebie uwagę projekta ustaw: opodatkowania towarzystw assekuracyjnych na rzecz „pożarnictwa“ krajowego i drugiej: dla sług miejskich i wiejskich. Obie te sprawy należą do bardzo żywotnych, i dlatego ich niezalatwienia na obecnej sessyi nie można panom sejmującym pochwalić.

Budżet całej naszej autonomii wynosi 4.057.033 złr., a pokrywa się przeważnie dopłatą do podatków rządowych w stosunku 35,5 centów od 1 złr. Jeżeli zważymy dodrodziejstwa i przyjemność autonomii, to ciężar ten wypada uważać za wcale nieuciążliwy. Ludność nigdy nie szemrała na te centowe dodatki, a chcąc lepiej zrozumieć tę pobłażliwość, wypada zajrzeć w szczegóły wydatków krajowych. Owóż ujrzymy ze zdumieniem, że właśnie najkrzykliwsze żywioły, i to nieprzejednane dla autonomii, jako rządzonej ni-by przez „obcych“, czerpią jak najpełniejszymi garściami mamonę z autonomicznej właśnie kassy napełnianej też głównie przez tych „obcych“. Widzimy tu np. taką „Besidę“ czerpiącą 6 tysięcy złr. zasiłku rocznego na teatr rusiński; „Proświtę“ „Akademieskie bractwo“, „Akademieski kruczek“, „Halićka ruska byblyoteka“, „Szkolna pomoc“ etc. etc. etc. również z kassy sejmowej czerpią środki do swej egzystencji.

W poczuciu nieseparatystycznego obowiązku obywatelskiego, Galicya stawia sobie pomnik, dźwigając instytucje użytku powszechnego w zakresie przemysłu i oświaty technicznej ludu. Przeszło sto tysięcy reńskich wydaje sejm: na szkoły przemysłowe (wieczorne dla terminatorów), szkoły ludowe zawodowe, połączone z pracowniami, jak: koszykarskie, kołodziejskie, kowalskie, ślusarskie, tkackie, garncarskie, keramiczne, rzeźbiarskie, koronkarskie, stolarskie, biegłości ręcznej i t. d. Dzięki temu wyrabiamy dzisiaj to po wsiach, co dawniej wyglądało na wyłączny przywilej europejskiego przemysłu. Gbudzony dobry smak w ludzie wyrwie go na reszcie z jego upodobań do barbarzyńskiego bytu w nędzy poniżającej lub wygodach kożuchowych i zabawach grubych, pozbawiających niezbędnej oglądy cywilizacyjnej.

Tak nasz budżet tegoroczny wygląda. Chyba trzeba już zanadto zagorzałego postępowicza lub rozmyślnego zgryźliwca, polującego na popularność przy wyborach, dajmy sobie do Rady Państwa, żeby mózgi przeciwko niemu szczerze, bez obłudy powstawać. Nie przeciążywszy kraju, wydobył sejm największą ilość zasobów finansowych, które utrzymują przy życiu instytucje wprawdzie nie urzędowe, ale niemniej przeto takie, co nadają społeczeństwu ogląd europejską, udoskonalają jego pracę i zapewniają znakomite dochody pieniężne.

Poprzednią, piątą sesją sejmu zamknął dawny namiestnik, ustępujący z namiestnictwa, aby wstąpić do gabinetu wiedeńskiego w charakterze ministra dla Galicyi. Mianowany w miejsce p. Zaleskiego, hr. Kazimierz Badeni, b. Starosta Krakowski, zaczął swe urządowanie już po odroczeniu sejmu, bo w d. 29 Października. Nowy namiestnik, należy do koła arystokracji krajowej; powiadają jednak o nim, że będzie się trzymał zdala od koteryjnych zachcianek i zamierzył jakoby wytrwać na stanowisku bezwzględnej sprawiedliwości. Jest on podobno sprężystym i pracowitym, a przytem ma znać dobrze administracyę. Obok niespodziewanych nominacji, które p. Ziemiałkowskiemu, przez lat 15 ministrowi bez teki, ale z Galicyą na głowie, dały upragniony wypoczynek, jako wypadek wybitniejszy w świecie politycznym, choć nie ściśle polityczny, staje uroczysty obchód jubileuszu 40-letniej działalności parlamentarnej prezydenta Rady Państwa, Franciszka Smolki. Na pamiątkę onego, zwolennicy jego chcą wybić medal, a na kosztą tego wybicia zbierają składki publiczne. Mnóstwo powinszowań w dniu jubileuszowym nadeszło do Smolki od znakomości politycznych całego świata. Po ostatniej stracie bolesnej nieodżałowanego księdza Florentego Likendorfa, kaznodziei Dominikanina, jest to pierwsza przyjemność, jaką uczucie nasze obywatelskie może się cieszyć.

Na *valet* wyprawiliśmy tego tygodnia inny pogrzeb, ale na tym już, jeżeli płakaliśmy, to chyba z radości: pochowaliśmy naszą niewonną Pełtew pod sklepienia betonowe i przecięliśmy nazawsze źródło utrapień dla naszych nosów i płuc. Po raz pierwszy, jak Lwów Lwowem, może się on nazwać bez zająknięcia miastem europejskim. Na miejscu cuchnącego ścieku powstał teraz ogromny skwer, obok bulwaru miejskiego, który dopiero będzie prawdziwą ozdobą miasta, przy wybitnej zdolności artystycznej naszego ogrodnika miejskiego. Będzie środek jego ozdobiony pomnikiem Jana III Sobieskiego, którego model oglądaliśmy w pracowni p. T. Baracza, słynnego rzeźbiarza Lwowianina, i uznajemy go za doskonały wobec skromnej summy, jaką na ten cel miasto wydać zamierza.

Wskutek tej świeżej odmiany na lepsze w porządkach miejskich, już teraz powierzchowność Lwowa przybrała postać miasta europejskiego rzetelnie; uroku zaś szczególnego dodają mu dokoła lasy na wzgórzach i prześliczna Góra Zamkowa z Kopcem w samym środku, jak tego nie spotkać w żadnym mieście starego kontynentu. Jeżeli dodamy do tego ludność nadzwyczaj przywiązaną do kraju, acz wprawdzie wyłącznie z „obcych“ złożoną, dobrą, łagodną, wesołą i uprzejmą, to śmiało można Lwów polecić, jako najprzyjemniejsze miejsce zamieszkania w Galicyi. Do miłych właściwości Lwowa, potrzeba zaliczyć i tę, że nie przestając być w gruncie rzeczy małym miasteczkiem polskim, ma on fiziognomią zewnętrzną stolicy europejskiej.

Niech tylko wybudują tramwaje parowe, okalające miasto i teatr stały, oraz magazyny zbożowe miejskie—to i ze strony wygod, na których tu obecnie zbywa, niewiele co do życzenia pozostanie. W naszym wreszcie ruchu umysłowym i moralnym od paru lat znaczny postęp widać. Nie wiemy, czy ta chropawa skorupa prowincjonalna, jaką dotąd zewnętrznie gród nasz był odziany, czy pozbycie się czynników ciemnych w gruncie, choć udających jasnie oświecone umysłowo, czynników warcholskich i gburowatych, a co najgorsza, i grubo niemoralnych: dosyć, że od paru lat lwowska publiczność, jakby się odrodziła, nabrała oglądy europejskiej i, nie tracąc bynajmniej znamion swojskich, stała się rozumniejszą, bardziej przedsiębiorczą, a co najważniejszą: obyczajniejszą i rzetelniejszą.

Ta zmiana na lepsze naszych stosunków etycznych i intelektualnych widoczna jest w żywym zainteresowaniu się publiczności tutejszej dobroczynnością, nauką i sztuką, a przedewszystkiem teatrem, odwiedzanym teraz tak, jak nigdy przedtem. O zasobie tutejszej sceny w sztukach teatralnych nie chcemy pisać, bo jest on tensam, co i w Warszawie, choć to wypada mu mieć za

złe: ale nie będziemy tem dręczyli naszych czytelników, wolimy im podać coś ciekawszego: oto wprowadzono dobrowolnie przedstawienia rusińskie pomiędzy polskimi. Wyniki materyjalnej próby wypadły niekorzystnie dla kassy teatralnej, bo bracia nasi jakby nie poczuli się do obowiązku podtrzymywania i rozwijania swej sztuki dramatycznej, spychają i ten ciężar na cudze barki, ale ci nudząc się, nie chcą znowu odrabiać sami całej pańszczyzny i uważają to za dostateczne, że na pierwszych przedstawieniach sami prawie zapelniali teatr.

Wprawdzie teatr i sztuka plastyczna zajmują u nas i w Europie przeważnie uwagę opinii publicznej; sądzymy wszakże, że to jest niesłuszne, bo daleko donioślejsze znaczenie w życiu społecznym ma literatura, w ściślejszym tego słowa znaczeniu. Nie zostajemy i tu w tyle poza innymi dzielnicami kraju, a boćaj czyśmy ich nie wyprzedzili. Najświeższymi publikacyami książkowymi większych rozmiarów w dziale powieściowym są: Z. Kaczkowskiego „Olbrachtwi rycerze“, drukowani w *Gazecie Lwowskiej* i u was w *Gazecie Warszawskiej*; W. Koszczyca „Wies dla wsi“—i Żmogosa „Pożary i zgliszcz.“

Erywał.

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych

Księżyce Marsa. — Pochodnie słoneczne. — Rezultaty otrzymane skutkiem obserwacji słońca w dniu 19 Sierpnia r. z. Nowe planety. Wytwarzanie się elektryczności przy skraplaniu się wody. — Badania atmosfery z balonu. — Olbrzymie głowonogi morskie. — Nowy motor. — Kryptofon.

Astronom Asaph Halla w dniach 11 i 17 Sierpnia roku zeszłego odkrył około Marsa dwa księżyce, które ściągają na siebie coraz częściej uwagę uczonych. Do wyżej wymienionego czasu dwa te ciała niebieskie były zupełnie nieznanne, zachodzi tedy pytanie, dłaczego pomimo licznych badań Marsa, przy pomocy szkieł silnie powiększających, nie zostały poprzednio dostrzeżone? Wypada przytem nadmienić, że oba te ciała znajdują się bardzo blisko planety: bardziej odległe o 1,82 promienia równikowego Marsa, drugie zaś zaledwie o 0,73. Ruchy tych maleńkich księżyców, zwłaszcza zaś bliżej położonego, Fobosa, są nadzwyczaj szybkie, całą swą drogę bowiem przebiega on w przeciągu 7 godzin i 39 minut. Okoliczności te powinny być właśnie sprzyjać obserwacyom i przyspieszyć odkrycie tych księżyców marsowych.

Co mogło stawać na przeszkodzie?

Wziąwszy pod uwagę znaczną ilość planet widzialnych przy pomocy teleskopu, krążących między Marsem a Jowiszem wokoło słońca, można podejrzewać, czy czasami Fobos i Deimos, nie są planetami, które w swem biegu zbliżyły się tak daleko do Marsa, że stały się jego satelitami i wspólnie krążą obecnie około słońca. Z wniosku złożonego Akademii Nauk w Paryżu przez Dubois dowiadujemy się prócz powyższego że w tej grupie planet krąży zapewne znaczniejsza liczba jeszcze dotąd nieodkrytych, z których większość zczasem stać się może satelitami Marsa.

Jest to nowe, bardzo obszerne pole do badań astronomicznych, które w niedługim zapewne czasie wydadzą obfite owoce naukowe.

Niejednokrotnie wydarzało nam się wspominać w kronice naszej o zdobyczach astronomicznych za pośrednictwem fotografii dokonanych. Dziś musimy zanotować odkrycie w tym kierunku dokonane przez p. Wilsing'a. Zdejnował on fotografie słoneczne w Potsdamie od d. 1-go Marca do 31 Sierpnia w roku 1884. Na płytach jego *pochodnie słoneczne* (dotąd zajmowano się jedynie plamami słonecznymi) przedstawiają się jako ciemne punkta i żyłki zupełnie wyraźnie odgraniczone. Cały szereg klisz otrzymanych za po-

moją fotografię pochodni słonecznych stwierdził, że obrót słońca około osi wynosi 25 dni 5,47 godzin, co zgadza się z rezultatem otrzymanym z obserwacji przebiegu plam występujących około słonecznego równika.

Wilsing pochodnie słoneczne uważa za wynik nienormalnych zaburzeń na słońcu, które z czasem formują na niem protuberancje. Są one owiele trwalszym zjawiskiem, aniżeli plamy; skutkiem tego trudno pogodzić poglądy p. Wilsinga z hipotezą o gazowej naturze słońca, o której mówiliśmy w jednej z kronik „Bluszczu“ z powodu całkowitego zaćmienia w d. 19 Sierpnia r. z. Wiadomo, że z przyczyn atmosferycznych w Europie, zaćmienie to nie mogło być obserwowanem.

Szczęśliwszym pod tym względem był professor obserwatorium w Kijowie p. Chandrikow, który obserwacje nad tem rzadkiem i prawdziwie cudownym zjawiskiem miał sposobność odbywać na Uralu, mianowicie na górze Błagodati, podczas najpiękniejszej pogody. Szkoda tylko, że brak odpowiednich narzędzi stanął na przeszkodzie dokonaniu nowych odkryć naukowych. Pomimo to prof. Ch. wyprowadził następujące wnioski, które tu z „Humboldta“ przytaczamy:

1) pomiędzy protuberancjami widzianymi na krańcach słońca podczas całkowitego zaćmienia i plamami na słońcu nie zachodzi żaden związek, a przynajmniej nie taki, jaki wskazuje Faye w swej hipotezie o budowie słońca—i

2) korona słoneczna widziana podczas całkowitego zaćmienia słońca jest jedynie zjawiskiem optycznym.

* * *

Wyżej wspomniane pismo donosi, że od miesiąca Lutego r. b. odkryto następujące małe planety:

Planeta 272 odkryta 4 Lutego przez Charlois w Nicei.

Planeta 273 odkryta 8 Marca przez Palisę w Wiedniu.

Planeta 274, 3-go Kwietnia przez tegoż.

Planeta 275, 15-go Kwietnia przez tegoż.

Planeta 276, 17-go Kwietnia przez tegoż.

Planeta 277, 3-go Maja przez Charlois w Nicei.

Planeta 278, 16-go Maja przez Palisę w Wiedniu.

Wszystkie one w czasie odkrycia były planetami między jedenastą a czternastą wielkością,

* * *

Doświadczenia wykonane przez p. Semmole, w obecności profesora Palmieriego, wykazały, że gdy woda przechodzi ze stanu gazowego w płynny, t. j., przy skraplaniu się pary, wyrabia się znakomita ilość elektryczności.

Powszechnie mniemano, że elektryczność w parze wodnej wyrabia się skutkiem tarcia, tymczasem ściśle przeprowadzone doświadczenie p. Semmoli przekonywa, że źródłem jej jest sam akt skraplania się.

W tym celu kocioł wyrabiający parę połączono z ziemią, rura zaś wyprowadzająca parę do obok znajdującej się wielkiej szopy opatrzoną była w liczne kolce, które oddzielnie za pośrednictwem drutów metalicznych również połączone były z ziemią, tak, że wszelka mogąca się wyrobić w kotle i przy przejściu przez rurę elektryczność była odprowadzana do ziemi. Wogóle przed sięwzięto wszelkie możliwe ostrożności, aby mogąca się wywiązać elektryczność przez tarcie przy przechodzeniu pary z kotła przez rurę do szopy, była odciągnięta do ziemi.

Gdy para weszła do szopy, utworzyła pod dachem gęsty obłok, i w nim pogrążono przewodnik izolowany, połączony z elektroskopem, który wykazywał silne naładowanie elektrycznością dodatnią. Pokazuje to, że jedynym źródłem wytwarzania się elektryczności było skraplanie się pary.

W atmosferze dzieje się coś podobnego. Można przypuszczać, że elektryczność nie wywiązuje się tam skutkiem tarcia się chmury o chmurę, lecz skutkiem skraplania się chmur, i w samej rzeczy

wyładowywaniu się z chmur elektryczności towarzyszy bez wyjątku deszcz.

* * *

Wiadomą jest rzeczą, że badania atmosfery, szczególnie co do temperatury i stanu wilgotności, najkorzystniej jest odbywać w balonie, a to skutkiem tego, że zniesionym zostaje wpływ ziemi na instrumenta. Główne badania prowadzone były odnośnie do temperatury i stanu wilgotności atmosfery w wyższych jej warstwach. Starano się w tym celu udoskonalić termometr i psychrometr czyli hygrometr; rozmaite jednakże modyfikacje nie przynosiły żadanego skutku. Narzędzia te podlegały wpływowi promieni słonecznych, wiatru, a skutkiem szybkiego wznoszenia się i biegu z wiatrem balonu nie można było dokonywać ścisłych badań.

Przed niedawnym czasem Dr Assmann, członek berlińskiego instytutu meteorologicznego, zbudował przyrząd chroniący narzędzia fizyczne od wpływów, jakie na nie wywiera promieniowanie słońca i wiatr. Mianowicie od wpływu słońca chroni je wypolerowana płaszczyna niklowa, odbijająca promienie słońca, a rura z podobnego metalu, zaopatrzona w mieszek gumowy ze sprężyną otwierającą się automatycznie, doprowadza za każdym otwarciem się około 1-go litra powietrza bez wywołania wiatru. Zarówno w słońcu, jak w cieniu, termometr wskazywał na podobnie ochronionych narzędziach jednakową temperaturę.

Z podobnie zmodyfikowanymi narzędziami odbywał doświadczenia w balonie p. Gres, a rezultaty były najzupełniej zadawalającymi.

Zauważył on, że spadanie temperatury w miarę wznoszenia się balonu odbywa się znacznie wolniej, jeżeli niebo pokryte jest chmurami; potem w samej chmurze następuje raptowny spadek rtęci w termometrze, powyżej zaś chmury temperatura raptownie się podnosi. Co do wilgotności powietrza, to ta, podobnie, jak ciepło, w miarę wznoszenia się zmniejsza się, t. j. powietrze im wyżej tem jest suchsze, abstrahując, naturalnie, o wpływu chmur, których działanie na hygrometr jest znaczne.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Nagrody z zapisu ś. p. Adama Chojnackiego, dla dobrych i wiernych sług, otrzymały w tym roku: Felixa Siemaszko, kucharka, która w tym obowiązku przebyła 34 lata u p. Perkowskiej rs. 150. Anastazyja Ryfa, także kucharka rs. 75, za 32 lat służby u p. Grochowskiego.

— Warunkiem przyjmowania do aptek kobiet chcących się kształcić do zawodu aptekarskiego, jest świadectwo z kursu nauk, odpowiadających czterem klasom męskiego gimnazjum filologicznego, oraz pewna znajomość języków starożytnych, głównie łaciny. Na pozyskanie stopnia podaptekarska, czyli prowizora aptecznego, muszą one studyować prywatnie, gdyż kursa farmaceutyczne przy uniwersytetach krajowych nie są dla kobiet otwarte. Przeszkodę w przyjmowaniu kobiet na uczniów aptekarskich stanowiło to, iż uczniowie ci powinni byli zamieszkiwać stale przy aptekach, przeciw Rada Lekarska zezwoliła na tymczasowe przyjmowanie kobiet, jako uczniów przychodnich.

— P. Stefania Kruszevska, ukończywszy w Zurichu instytut weterynaryjny, zamierza osiąść w Warszawie, praktykować w zawodzie obranym. Obecnie stara się ona o złożenie odpowiedniego egzaminu. Kobiety weterynarki mogłyby pracować użytecznie na wsiach.

— P. p. Bielińskie, które otrzymały na wystawie kijowskiej medal za okazy owoców suszonych, zakupiły pod Warszawą obszerny ogród

gdzie zamierzają urządzić suszarnie owoców na wielką skalę.

— P. Marya Kleniewska, żona właściciela Kluczkowice pod Opolem, założyła tamże w Lipcu b. roku sklep, z przedmiotami najpotrzebniejszymi dla ludności wiejskiej. Kapitał zakładowy wynosił rs. 700, a przypuścić należy, iż procentuje dostatecznie, gdyż sklep targuje nieraz po 15 rs. dziennie. Podobny sklep powstał również temi czasy we wsi Kijany, w powiecie Lubartowskim, założony także przez panią ze dworu, z kapitałem już większym, bo 1.000 rs., i targ dzienny jest tam dwa razy taki, jak w wymienionym wyżej sklepie, bo często dochodzi dziennie do 30 rs.—brutto. Pismo nasze od początku swego istnienia, więc od lat dwudziestu trzech, zwracało uwagę pań ziemianek na tę gałąź pracy kobiecej, która ma, nie tylko ekonomiczne, ale i obywatelskie znaczenie przez bronienie ludu wiejskiego od wyzysku, od wielkiego wyzysku mniej uczciwych sklepnicarzy miasteczkowych—przez wytworzenie pewnego węzła między stronami interessowanymi. Obecnie sklepy mogą liczyć na większe, niż dawniej, powodzenie przyczyni, iż *Gazeta Szwajcarska*, rozchodząca się między ludem wiejskim, silnie za takimi sklepami przemawia, wykazując czytelnikom swoim, jak bardzo są wyzyskiwani przez sklepy miasteczkowe.

Zakładanie sklepów przez wieśniaków szczytnych byłoby również pożytecznym przedsięwzięciem, gdyby przecież na ich czele stawała osoba inteligentna, znająca potrzeby miejscowe, uzdolniona przytem w towaroznawstwie i utrzymywaniu rachunków sklepowych, oraz mogąca przewodniczyć rozsądnie przy nabywaniu towaru w miastach. Niezawsze przecież może się znaleźć we wsi ktoś taki, jak również niezawsze może się znaleźć ów ktoś drugi, któryby kapitał potrzebny wyłożył; czy jednak nie mogłoby się urządzić spółek? Naprzykład: pieniądz składkowy wsi i dworu, a paniątka dworska, jako sklepnicarka, przedsięwzięcie prowadząca? *Tydzień piotrkowski* pisze, że w *Tomaszowie Rawskim*, istnieją dwa spożywcze sklepy spółkowe, założone w roku bieżącym. Każdy przystępujący do spółki płaci rs. 15 za udział jeden, może przecież nabyć ich więcej — nie więcej jednak, niż dwadzieścia, czyli za rs. 300, a to, aby charakter spółki nie uległ przemianie. Takie sklepy spółkowe mogłyby się zawiązać i po wsiach, szczególnie parafialnych, które pod tym względem bynajmniej nie różnią się od miasteczek, bo gromadzą stale co tydzień całą niemal ludność parafii, co przedstawia takie już jej zebranie, jakiego dość, aby sklep mógł istnieć i rozwijać się pomyślnie—jeżeli będzie urządzony i prowadzony dobrze. Sklepy spółkowe przedstawiają nawet większe widoki powodzenia, niżeli czysto dworskie, bo zainteresowanie się niemi stawałoby wtedy owiele większem, a małe sumki, naprzykład: kobiet wyrobnie, jużby przynosić mogły jakiś procent, gdy obecnie są chowane do skrzynki w papierkach nic nie przynoszących. Działalność kobieca ma tu pole, aby się rozwijać pożytecznie.

— Pismo nasze donosiło przed kilku laty o sklepie dworskim, prowadzonym przez córki właściciela wsi, gdzie towar mógł być nabywany za jaja; był tu drugostronnie i skład jaj, co też przedstawia dla przedsiębiorczyń gałąź pracy, z korzyściami niewątpliwie pewnymi. Składy jaj istnieją po prowincjach, i oto w Nowej Alexandryi (w Puławach), założony został świeżo przez Chaima Weisbrodta skład podobny. Jaj dostarczają tu liczni agenci, wykupujący je w okolicy, a które potem pakowane w beczki lub paki idą koleją żelazną za granicę. Przed kilku laty pismo nasze wskazało warunki handlu jajami, połączone z rozwiniętą hodowlą kur w tych gatunkach wyższych, które niosą jaja duże, jedynie dobrze płatne na wywóz.

— Hodowla drobiu na wywóz, ma też przyszłość przed sobą, ale tylko odpowiednie pośrednictwo stanowi o tem, aby przynosiła producentom należne korzyści. W Eytkunach, na granicy Prus Wschodnich, przedsiębiorca hamburski urządził wielką rzeźnię drobiu, mającą fun-

konowac głównie w zbliżającym się miesiącu Styczniu. Przedsiębiorca hamburski zakontraktował przez swego pełnomocnika wielką dostawę drobin, szczególnie gęsi, które w Eytkunach będą bite, skubane i wagonami całymi wysyłane do Hamburga, zdaje się, że z dalszym przeznaczeniem wywozu do Anglii. Dobre pulardy, to jest w gatunkach smacznych i niezbyt drobnych, zapewne byłyby pożądane.

— Dobre uprawianie wędlin może również stać się gałęzią pracy kobiecej, oplacającej się należycie, jeżeli będzie prowadzone najpierw umiejętnie, a powtórnie na zasadach odpowiedniego rachunku. W d. 1-go Listopada wysłano koleją z Warszawy do Paryża dwa wagony wędlin, przeznaczone do sklepu, będącego własnością spółki p.p. Misiewicza, Czarskiego, Gostkowskiego i Adamowicza.

— Marya d'Haussonville, wnuczka p. de Staël, a siostra i córka akademików francuzkich wyższego znaczenia, zajęła się dobroczynnie losem Sióstr Miłosierdzia, które namiętność stronnictwa usuwa z paryzkich szpitali „Hôtel Dieu“ i Ś-go Ludwika. Aby wygnanki znalazły jakieś pewne i stałe schronienie, najęła w Paryżu przy ulicy des Plantes na Montrouge, kamienicę, która ma się stać ich domem.

— Angielska pani uczciwego serca, lady Marya Fielding, wzniosła w Londynie instytucję najdobroczynniejszą może na świecie: giełdę pracy kobiecej, która w ten sposób ma daną sobie pod stawę rozwoju na zasadzie racjonalnego zwracania się sił pracujących w kierunku, gdzie odpowiedni zarobek i zbyt dla przedmiotów tej pracy zapewnionym jej być może, gdy obecnie kobieta pracująca z klas wyższych, nad prostą wyrobniczą, chwytając się najczęściej pracy naciębitrafi. Stanowi to chroniczną słabość pracy kobiet ze wspomnianej sfery i to główną jest przyczyną, że setki, nawet tysiące wiodą istnienie smutne, pełne bolesnych zawodów.

Lady Fielding umie patrzeć w życie, bo współczucie dla nieszczęśliwych kieruje jej wzrokiem, wskazując, gdzie cierpienie jest najdotkliwszem. Obecnie też zajmuje się wzniesieniem w Londynie domu dla kobiet niezamożnych z klasy inteligentnej, gdzieby na zasadzie oszczędności, dającej się otrzymać przez połączenie razem funduszów drobnych, mogły żyć wygodniej, niżby gdyby każda wydatkowała pojedynczo. W tym celu zawiązała znowu ta pani *Kobiece stowarzyszenie budowlane* (Ladies Building Company) i wypuściwszy 10.000 udziałów po jednym funcie sterlingu, co odpowiada mniej więcej stu tysiącom rubli, rozpoczęła już budować dom, gdzieby osoby wymienionej kategorii mogły się mieścić za opłatą stosunkowo niską, żyjąc tam przecież w warunkach odpowiadających nawykniom klas ukształconych.

Każda z mieszanek mieć tam będzie mogła mały pokójek własny, lub większy, dzielony z wybraną towarzyszką, oraz stół i pranie, po cenie o wiele niższej, niżby to znalazła gdzieindziej. Jedzenie wspólne, podawane w obszernej sali jadalnej, w godzinach najodpowiedniejszych dla osób pracujących, lub w razie żądania spożywane u siebie w pokoju, może być, przy zakupach hurtem materiałów spożywczych i przygotowaniu ich razem, o wiele lepszym i pożywniejszym, niż w restauracjach taich. Przytem dom posiadać będzie wspólną bawialnię, bibliotekę, gabinety muzyczne, oraz obszerne, dobrze oświetlone pokoje do różnego rodzaju zajęć: „study-and workrooms“, oddane na wspólny użytek mieszanek, które prócz wygod, większych o wiele, niż gdyby każda prowadziła ży-

cie na własną rękę, znajdują odpowiednie towarzystwo i zawarte przez to związki przyjaźni, tak potrzebne kobiecie bez rodziny wśród miasta, liczącego ludność na miliony.

— Amerykańska gazeta *Philadelphia Times* zamieściła korespondencją przebywającego w Anglii Amerykanina, w której znajduje się bardzo sympatycznie i szlachetnie rysowana sylwetka żony Gladstone'a. Jest to kobieta—jak pisze ów korespondent—nie tyle wysokiego, ile pojęciem obowiązku szczerze i wskroś przejętego umysłu, a przymiot ten uważa korespondent za cechę charakterystyczną kobiety angielskiej w ogóle. Nie jest ona obojętna na politykę, bo nie jest obojętna na los kraju, przecież czynnie się do niej nie miesza, lecz zajęcie dobroczynne dołą ubogich klas pracujących uważa za swój wydział powinności obywatelskiej i w tym-to kierunku M-rs Gladstone uważać można za jedną z wybitniejszych osobistości wśród jej rodaczek. Żoną jest też wzorową, mężowi aż do poświęcenia oddaną, z pewnem przecie widocznym tego znaczeniem, że do jej uczuć osobistych łączy się cześć dla wyższego i krajowi swemu potrzebnego człowieka. Osobę swą utopiła ona niejako w osobie męża, nie tracąc mimo to własnej indywidualności (The has merged her personality in that of her husband, without losing her own individuality), ponieważ na własną swą rękę i według własnego planu pełni dzieło systematycznie prowadzonej dobroczynności.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— Na Wystawie Paryzkiej przemysł warszawski będzie miał, jak dotąd, przedstawicieli — trzech! Chrzanowski: wyroby drewniane, Feist: szeczotki, Spółka Orthwein, Markowski i Karasowski: odlew żelazne.

— Nowa Praga, idąc za przykładem Warszawy, pragnie urządzić dla robotników tanie posiłki. Na Pelcowiznie, w pobliżu dworca Kolei Nadwiślańskiej, wydawane będą dwa razy dziennie: od godziny 6 ej do 8-iej rano i wieczorem od 6-iej do 9-iej posiłki, złożone z zupy, lub herbaty i kawałka chleba w cenie kop. 3. Zamieszkałych w pobliżu, w gminie Brudno, rzemieślników jest 20.000 osób.

— Na wystawie Warszawskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych znajduje się portret Kraszewskiego, pędzla malarza Rossowskiego, twórcy „Skazanej“.

— Dzieł Mickiewicza w edycji taniej (kop. 80 za cztery tomy z przedmową Chmielowskiego), nabyła Łódź egzemplarzy niespełna dwieście!

— Na stypendya dla uczniów katolickiego wyznania, pobierających nauki w Guberni Wołyńskiej, zapisał w Żytomierzu obywatel Lechowski 80.000 rs. Na swój pogrzeb nie pozwolił wydać więcej nad 500 rs.

— Pomnik Kochanowskiego, wzniesiony w Poznaniu na placu przed katedrą, należącym do kapituły poznańskiej, a który pisma miejscowe zowią z krzywdą dla języka „tumskim“, zamiast katedralnym, został wykończony, jakkolwiek od słońcie odłożono do Nowego Roku, dla braku funduszów na otoczenie go potrzebną kratą. Całe wzniesienie pomnika uskuteczniło się staraniem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

— Sprowadzenie zwłok Mickiewicza do Kra-

kowa w lecie roku przyszłego jest już postanowionym, jako fakt. Komitet złożony z Dr. Weigla, Xawerego Konopki, Mieczysława Pawlikowskiego, Tadeusza Romanowicza i sześciu akademików, podał rzecz do wiadomości publicznej, z wyszczególnieniem, że zwłoki poety zostaną złożone na Wawelu. Składki na kosztą sprowadzenia i przygotowania krypty, oraz wzniesienia sarkofagu, już się zbierają za pozwoleniem rządu.

— Z honoraryów literackich uzbieraną sumę 6 000 zł. reńskich, przesłał galicyjskiemu wydziałowi krajowemu ks. Wojciech Michna, proboszcz w Chłopicach pod Jarosławiem galicyjskim, piszący do pism ludowych pod pseudonimem: Janka z Głodo manku. Pieniądze te przeznaczył zacy ich ofiaro dawca na założenie szkoły przemysłowej w miasteczku galicyjskiem Krościenku Wyższym.

— Edward Jeinek znany miastu naszemu literat czeski i korespondent naszego pisma, został członkiem Literackiego Towarzystwa w Paryżu.

— Poeta hiszpański, Leon Medina, przełożył na ojczysty swój język: „Pana Tadeusza“ i „Dziady“ dodając potrzebne objaśnienia, złączone z poglądem na literaturę i społeczeństwo nasze.

— Angielskie czasopismo lekarskie: „British Med. Journal“ podniosło zamieszczaną niejednokrotnie w pismach kwestyą rozszerzania chorób zaraźliwych zapomocą książek z wypożyczalni publicznych. Jest to rzecz bardzo nieraz niebezpieczna zdrowiu czytelników.

— Poczta gołębia utrwała się, jako środek komunikacyi w czasie wojny. We Francji jest gołębi pocztowych przeszło sto tysięcy. Stacja Paryż posiada ich 25.000, tyleż Bordeaux. Obecnie wydanem zostało rozporządzenie, aby w razie wybuchu wojny każda stacja dostarczyła gołębi pocztowych do wszystkich korpusów wojsk.

Sprostowanie.

W numerze 45 *Bluszczu* na str. 354, w szpalcie 3-iej, w wierszu 21-ym od góry, zamiast 3, powinno być 323 ubogim.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dla prenumeratorów na prowincyi, „Prospekt pisma codziennego ZIARNO.“

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się do wszystkich egzemplarzy *Cennik składu rycin* Z. Muszkata.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 9-ty i 10 ty powieści pod tytułem: *Katarzyna Regina*, przez Waltera Besant'a.

TREŚĆ. Z cyklu Sonetów, El-y'ego. — Narzeczona, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Ze spuścizny olbrzyma, (dalszy ciąg), przez Miriam'a: — Szwab, (dalszy ciąg), (Szkic do powieści), przez Teodora Jeske-Choińskiego. — Echa Lwowskie. — Kronika działalności kobiecej. — Z działu przyrody, przez J. S. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje Arkusz 9-ty i 10-ty powieści pod tytułem: *Katarzyna Regina*, przez Waltera Besant'a. — Przegląd mód. — 38 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — Dyspozycją stołu